

*Die 3 augusti,
Zamek w Samborze, piąta po południu*

– Nie ukarzę Waarłama – powiedział Dymitr ściszym głosem, kiedy zostali sami. – Nie poślę go na męki, nie skrócę o głowę.

– Wasza wola, mości carewiczu. – Dydyński skłonił głowę. – Choć jestem pewien, że rozłożony na ławie śpiewałby składniej niż Borys Oboleński, który okazał się zdumiewająco oporny na nauki mistrza Friedricha.

Carewicz nie odpowiedział. Siedział na rzeźbionym karle skurczony, mały i słaby; prezentując Dydyńskiemu zupełnie

innego Dymitra niż ten, który ciskał na szlachcica gromy z wysokości carskiego majestatu. Wyglądał na chorego, jakby fantazja i majestat uszły zeń niczym powietrze z rybiego pęcherza przekłutego szpikulcem kucharki. Jacek zrozumiał, że Dymitr pierwszy raz pokazał mu prawdziwe oblicze, na którym dumy i moskiewskiej pychy było tyle co kot napłakał, za to o wiele więcej lęku i zwątpienia. O ile oczywiście był to prawdziwy lęk, bo nastroje cara zmieniały się tak szybko, jak gdyby Dymitrem Iwanowiczem targały fluksje i melancholie. Być może po to, by wzbudzić litość i zaufanie stolnikowica. Była to jeszcze jedna umiejętność, którą Dydyński zaczynał dostrzegać u Moskali.

– Nie mogę zabić ani męczyć człowieka, dzięki któremu dowiedziałem się, kim jestem. To właśnie Jaickij wyjawiał mi moje pochodzenie cztery lata temu... w Galiczu.

Dymitr wychylił do dna srebrny puchar z winem.

– To, co ci powiem, winno zostać między nami, mości panie Dydyński.

– Rzecz oczywista. Kładę na to nobile verbum – rzekł Jacek z ręką na sercu.

– Wychowywała mnie rodzina Smirnowów-Otriepiewów – ciągnął Dymitr, spoglądając na Dydyńskiego bystro. – Byli jak przybrany ojciec i matka, choć batuszkę urezali w Słobodzie Niemieckiej w Moskwie, dokąd jeździł na wino i miody. Nie spodziewanie, gdy byłem zaledwie młodzieńcem, pojawił się on – czarny mnich, Waarłam Jaickij. Zabrał mnie od przybranej matki i rzekł, że przeznaczone mi są wielkie czyny. Jaickij zawiózł mnie do Moskwy, do Siemiejki Jefiemowa, który nauczył mnie czytać i pisać. A potem umieścił na służbie u Michała Romanowa i Borysa Czerkaskiego, możnych bojarów, abym nabrał ogłady i dworskich manier.

– Czy wtedy Wasza Carska Mość dowiedział się prawdy?

– Jeszcze nie. Choć dziwiłem się, że jakiś obcy człowiek ma o mnie staranie. Wszystko wydało się u schyłku roku sto ósmego, to jest waszego tysiąc sześćsetnego, kiedy czeladź Romanowów i strzelcy zwadzili się z ludźmi Godunowa, nieprawego

cara moskiewskiego. I wtedy przysłała na nas bieda, bo carscy kaci poczeli łowić czeladź i rękodajnych. Kto tylko się nawinął, szedł na męki. Lecz zanim mnie wzięli, Waarłam wyskoczył jak bies spod ziemi. Zabrał mnie z dworu Romanowych sekretnym wyjściem i zawiózł do monasteru Uspieńskiego w Chłynowie, niedaleko Wiatki. I tam wyjawiał mi prawdę – że jestem prawym dziedzicem Czapki Monomacha, carewiczem Dymitrem Iwanowiczem, krwią z krwi Rurykowiczów i kością z ich kości. Ja sam pamiętałem niewiele – że mnie chcieli zabić, a lekarz Niemiec wyprowadził z Uglicza od płaczącej matki. A potem była tamta druga rodzina, co mnie przyjęła w miejsce zmarłego syna. Nie było mi tam do śmiechu, czasem nie dojadalem, cięgi brałem od Otriepiewów i obcych ludzi. Ale przetrwałem...

– I kiedy Waarłam wyjawiał wam prawdę, zapewne sprawy skomplikowały się nieco? – wymamrotał Dydyński, którego to wszystko obchodziło, prawdę rzekłszy, tyle co zeszlóroczny śnieg.

– Skomplikowały?! – Dymitr aż zerwał się z karła, a jego oczy zabłyśły. – Czy ty, waszmość, myślisz, że to była sielan-ka albo awantura żaków w Krakowie nakrytych przez straż miejską przy wybieraniu żydowskiego kozubalca? Ludzie i kaci Godunowa polowali na mnie jak rozjuszony psy, niczym oprycznicy mego ojczulka Iwana, tyle że tamci byli wierni carowi, a ci podnieśli rękę na jego prawowitego syna. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko postrzyc się na mnicha pod imieniem Grigorij, ale bez składania ślubów zakonnych.

Umilkł i przez chwilę dyszał głośno.

– Za wstawiennictwem ihumena Trifona przeniesiono mnie do Galicza, do monasteru światłego Jana Zbawiciela. Potem tułałem się jeszcze po klasztorach i samotniach, byłem w Spaso-Jefimiewskim w Suzdalu i u Michała Archanioła w Moskwie. Skąd za protekcją archimandryty Pafnucego i parocha cerkwi Świętej Bohorodzicy, Eufemiusza, przenieśli mnie do monasteru Czudowskiego na Kremlu. Nie zagrzałem tam długo miejsca, ale zakonna suknia chroniła mnie przed gniewem cara

jak najgrubsza zbroja. Kiedy wszakże poczęły krążyć plotki, że u patriarchy Hioba jest człek, o którym mówią, że wygląda całkiem jak carewicz Dymitr, Godunow wpadł w gniew. I kazał zesłać mnie do monasteru Sołowieckiego, gdzie ziemia i woda łączy się w jedno, a wiatr wyje wśród skał. Diak Wasiliew Smirnow miał mnie schwytać i wywieźć na północ. Ale nim to się stało, Waarłam pojawił się znowu. I wyprowadził poza granice Moskwy. W tych wszystkich razach, kiedy dotykała mnie opala, stał przy moim boku jak batiuszka. Bo ja mego prawdziwego ojczulka Iwana nie pamiętam prawie wcale, Otriepiewa zaś zajmowało głównie picie i bicie. To Waarłam wspierał mnie jak prawdziwy chrześcijanin. Dlatego właśnie, choćby był samym biesem i Lachem w jednym, nie mogę skazać go na śmierć.

– A jednak służył twoim wrogom, niezależnie od tego, kim byli... – wtrącił Dydyński. – Jaickij może być kluczem do tajemnicy – on pewnie wie, komu zależy na porwaniu następcy tronu. O ile to, oczywiście, nie jest Godunow.

– Strąciłem w otchłań człowieka, który był moim najwierniejszym sługą. A wszystko z powodu słowa mej lubej Maryny, poparcia dobrodzieja wojewody i strzępów listu znalezionych przez szlachcica, którego widzę trzeci raz na oczy. To wystarczy.

– Ten szlachcic uratował życie Waszej Wysokości...

– Dwa razy. Waarłam uczynił to przynajmniej pięciokrotnie.

– Jaickij wydałby uczestników spisku.

– I wyręczył ciebie w niewdzięcznym zadaniu. Ja tylko przypominam, że zawarliśmy pacta conventa, jakie wasz król podpisuje z całą polską nacją. Ja swoich dotrzymam, więc bacz, abyś i ty wykazał się poczciwą służbą. Cóż takiego dowiedziałeś się od Borysa?

– Znalazłem list, który leży przed tobą. A nade wszystko dowiedziałem się o Niedźwiedzim Chreście. – Dydyński wyciągnął znak znaleziony przy porywaczu na trakcie pod Bachorzkiem. – Krzyż, który dla ludzi takich jak Borys jest oznaką władzy. Ten, kto go ma, to jakoby ruski święty – należy bić mu czołem i modlić się jak pohańce do sprośnego Mahometa.

Przynajmniej tak zareagował Waarłam. Dzięki niemu dojdę po nitce do kłębka. Daj Bóg, aby stał się on konopnym powrozem na szyje wrogów Waszej Carskiej Mości.

Dymitr spoglądał przez chwilę na krzyż.

– Można by pomyśleć – rzekł – że to znak pogan albo bałwochwalców, jakich, niestety, siła przetrwała w naszej świętej Rusi. Ale nie przypominam sobie żadnych odstępców i odszczepieńców od świętej i jedynowładnej cerkwi, którzy pieczętowałiby się takim znakiem. Ani to krzyż strigolników, ani żydowinów. Nie jest to chrest Karpa ani Nikity, heretyków, których mieszczenie Nowogrodu potopili w Wołchowie.

– A jednak jest symbolem władzy.

– Skorzystaj z niej, jeśli pragniesz szukać odpowiedzi na jedno proste pytanie – wymamrotał car gdzieś w dal, kładąc rękę na ramieniu Dydyńskiego. – Ktoś jest? Dlaczego mój los okazał się równie powikłany co wilcze tropy? Znajdź przyczynę mego nieszczęścia, a nie pożałuj nagrody. Rzeknij mi, kim jestem, a zrobię cię udziałnym księciem, dam Suzdał albo Orzeł, uczynię carskim wojewodą, a przy okazji – niech tam, nawet i hetmanem!

– Za pozwoleniem Waszej Carskiej Mości, wolałbym coś bardziej trwałego i... – zaczął cicho i ostrożnie Dydyński.

– Nie mam złota! – warknął Dymitr. – Jeszcze nie zasiadłem na moskiewskim tronie! Pokażcie swoją przydatność, Lachy! Rozbijcie moskiewskie hufce, otwórzcie mi drogę do Moskwy, wtedy doczekacie lafy i pożałowania!

– Nie chcę złota, ale życia jednego człowieka – odparł Dydyński. – I to darowanego teraz, na poczet wiernej służby. Pragnę, aby Wasza Carska Mość wypuścił z lochu Borysa Oboleńskiego, Moskala, który...

Kielich z resztką wina poleciał na posadzkę ciśnięty ręką Dymitra. Brzęknął na kamiennej podłodze, a rubinowy płyn obryzgał dywańskie kobierce i gobeliny. W piekielnej furii Dymitr kopnął stół, wyrzucił go, strącając obrusy, misy, złote i srebrne flaszki, przyskoczył do stolnikowica, zmieniając się

z litościwego baranka w moskiewskiego diabła albo mityczną Babę-Jagę zamieszkującą północne strony wielkiego księstwa carów.

– Dlaczego jego?! – wrzasnął. – Bładin syn! Dam ci każdego! Każdego – krzyczał, potrząsając kolejnymi palcami przed bladym obliczem Dydyńskiego. – Cara Borysa, to raz! Psiego patriarchę Hioba – dwa! Bojarów dumnych – trzy! Ród Godunowych – cztery! To czego ty chcesz jeszcze?! Czego – pytam po dobroci?!

– Ocalenia głowy Borysa – powtórzył Dydyński, na którym nagły wybuch carskiej furii zrobił o wiele mniejsze wrażenie niż przelatujący za oknem klucz żurawi.

Carewicz zamilkł. Ujął go poufale pod ramię, a potem powiódł, jak prowadzi się najmilszego kompana od kielicha w stronę pełnej beczki.

– Przecież mówiłem, Jacku Aleksandrowiczu – wyszeptał cicho i pokornie; zdawać by się mogło, że to on prosi o coś uniznienie dobrego przyjaciela. – Zapisałem mu śmierć w duszy, bo chciał mnie porwać z Sambora, założyć błazeńską maskę. On nawet na mękach szydził z mego dziedzictwa. Zwał rostrygą, worem, carzykiem i Dymitriaszka! Za mniejsze czyny na dworze ojca głowy bojarów toczyły się jak dynie! – zakrzyknął, bryzgając śliną. – Proś mnie o gwiazdkę z nieba, a zaraz wystrzelę z działa któregoś z moich rabów, aby ci ją zdjął z firmamentu! Ale Borys Oboleński musi dać gardło. I da, jakem Dymitr Iwanowicz, tu w Samborze, na rynku, na słomianym kobiercu!

– Za wszystkie moje obecne i późniejsze zasługi chcę tylko jego życia. Ten człowiek jest mi niezbędny, abym mógł dalej chronić Waszą Carską Mość. Nie frasuj się, mości panie, nie chcę go uwolnić.

– Idź do cyrulika, Jacku Aleksandrowiczu – rzucił Dymitr spokojnie. – Niechaj ci driakiew przyłoży do rozpalonego łąba, to oprzytomniejesz. Borys zadusi cię na pierwszym noclegu, urwie łąb i wrzuci do pieca! To bies, wcielony diabeł! Szejtan! Nie kuś Fortuny, bo to zwodnica!

– Jeśli Pan będzie mi sprzyjał, zdepczę ją jako małpę! – uśmiechnął się Dydyński. – A Boga przeprosiwszy, ucapię za łeb biesa i zmuszę, by mi służył.

Dymitr puścił ramię szlachcica. Podeszedł do kąta, w którym wisiały ikony, padł plackiem przed tą największą, na której święty Jerzy zabijał smoka, wbijając mu prosto w oko husarską kopię. A potem zerwał się, zastygł na kolanach, z dwoma złączonymi palcami uniesionymi do czoła.

– A Jezus zgromił demona, mówiąc: *Zamilknij i wyjdź z niego* – wycharczał jak opętany. – A demon rzucił go na środek i wyszedł, nie uczyniwszy żadnej szkody... Po co ci Oboleński, na Boga? Co z nim uczynisz?

– Będzie moim przewodnikiem po Moskwie. Psem na łańcuchu.

– Myślisz, że znajdziesz w sobie dość siły, aby poskromić tego diabła?

– Jeśli Oboleński jest wcielonym biesem – ozwał się Dydyński – tedy ja stanę się jego egzorcystą. A tutaj – pomacał się po szabli – mam najlepsze kropidło na niewiernych Moskali. Niechaj zatem przyszły car moskiewski pokaże pogodne oblicze i ułaskawi więźnia. Wówczas głosy poniosą wieść o jego miłosierdziu, łasce i dobroci do krwawych kolan tyrana Godunowa. I po zimie nastanie w Wielkim Księstwie Moskiewskim odwilż i wiosna.

– Proś mnie o wszystko. Tylko nie o litość nad tym człowiekiem! Nie mów mi więcej o nim!

– Jeśli taka carska wola... Mam też drugą suplikę – rzekł zrezygnowany Dydyński, który w skrytości ducha przemyślał już, czy po prostu nie odbić jeńca z lochów i nie wywieźć z Sambora. – Chcę wstąpić do nadwornej chorągwi husarskiej Waszej Carskiej Mości. Przywiodłem tutaj cały poczet z Inflant.

– Już w niej jesteś. Pan Buczyński da ci list do rotmistrza. Rota stoi pod Glinianami. Dołączysz do niej, kiedy wyruszymy. A to już wkrótce. Za jedną albo dwie niedziele.

– Dziękuję. – Dydyński skłonił się, aby odejść.

– Jacku Aleksandrowiczu...

– Tak?

– Pójdiesz ze mną? Poprzesz z dobrej woli moją sprawę?

– Przysięgałem.

– Pójdziemy na stolicę. O, panie stolnikowicu, czy ty widziałeś Moskwę? Czy wiesz, co to jest Kreml? Powinieneś ją kiedyś zobaczyć z Pokłonnej Góry, tam gdzie sto tysięcy pielgrzymów bije czołem świętemu miastu cerkwi i obrazów. Gdzie nad drewnianymi dachami domów wznoszą się wieże, a kiedy dzwony biją, ich dźwięk rozchodzi się na całe mile dokoła, płosząc stada ptactwa, co krążą nad kopułami soborów. Gdzie w dymie kadzideł, w świetle świec i kaganków wznosi się oblicze Chrystusa Pantokratora, sędziego surowego, lecz sprawiedliwego, zasiadającego na etimansji – tronie świata. Gdzie sto, dwieście, trzysta tysięcy poddanych bije pokłony przed jego majestatem. Co to jest Moskwa... Kolisko wodami rzeki przecięte, Rzym i Carogród dla prawosławia i świętej Rusi. Rusi Monomachów, Włodzimierzów i Aleksandrów Newskich. O, Jacku Aleksandrowiczu, czy ty wiesz, co to władztwo prawosławne?

– Nie, Wasza Carska Mość.

– To trzecie cesarstwo... Dawno temu, za panowania mego dziada Wasyla Iwanowicza, pskowski mnich Filoteusz ułożył prognostyk, świętą przepowiednię, w której jak w lustrze odbija się przyszły los Rusi. Pamiętaj, monarcho prawosławny, dwa Rzymy upadły, trzeci stoi. Czwartego nie będzie. Wiesz ty, Lachu niewierny, co to takiego trzeci Rzym? Oto właśnie Moskwa.

– To piekło!

– Błuźnisz! – wrzasnął Samozwaniec, jakby opętał go legion moskiewskich biesów. – Co ty możesz wiedzieć o świętym mieście... O prawdziwej, błahocześnie wierze... Moskwa... To święta rzecz. Czy ty ją chcesz zobaczyć, mości panie Dydyński? – Dymitr szeptał, modlił się, ale jego słowa dzwoniły w uszach Jacka jak cerkiewne dzwony. – Drewniany Skorodom, klasztory Androniewski, Nowospasski i Siemionowski, z drugiej strony rzeki Zamoskworieczije, gdzie monastery Doński i Daniłowski.

Dalej, w środku, Biełgorod kamiennym murem ogrodzony, tam zaś cerkiew Wszystkich Świętych na Kuliszkach, blisko Konnej Płoszczadzi, wreszcie Łubiańska Płoszczadz, Strzelecka Słoboda i cerkiew Teodozjusza. Puszczyński Dwór, Łabędzi Dwór, sady i monastery. A w środku, w samym sercu miasta, warowny gród, Kitajgorod, Bolszym Posadem zwany. W nim Mytnij, Jamskij i Panskij Dwory, Krasnaja Płoszczadz, a na niej dwór Wasyła Błażennowo, niebo nad miastem od krzyży, złotych kopuł cerkwi rozgwieżdżone. Jak tylko zaświeci jasne słońce, to daje świątyniom pańskim tak wielki złoty blask, że z daleka Moskwa jawi się niczym Jeruzalem, a w środku podobna jest do Betlejem. Aż wreszcie Krymgorod, to jest Kreml... W nim cerkiew Zwiastowania Maryi Panny, cerkiew Przczystej Boharodzicy, to jest Uspieński Sobor, cerkiew Michała Archanioła, gdzie są carowie grzebani... I wreszcie Iwan Wielki z dzwonami, z których największy – Car Kołokoł, a nade wszystko Zołotyj Pałat, gdzie na tronie mego ojca zasiada tyran, Borys Godunow w Czapce Monomacha. W rękę ma posoch wysadzany kryształowymi kulami, jakby węzłami. Na palcach pełno pierścieni, obraz Zbawiciela jest po jego prawicy, a ikona Najświętszej Panny po lewicy. Po bokach stoi dwóch pachołków zbrojnych w topory, w bieli...

Dymitr umilkł na chwilę, wpatrzył się w niezmierzoną, białą od śniegu i lodu dal, w otchłań moskiewskich stepów, skąd nawet teraz, w środku polskiego lata, ciągnął mróz.

– To jest moje dziedzictwo. Moje miasto. Mój tron – wyszeptał Dymitr. – Jacku Aleksandrowiczu, daję ci moje własne słowo, że jeśli mnie nie odstąpisz, zobaczysz święte miasto cerkiewnych świątyni, przepastne dwory, skarbcie i złote kopuły. I wtedy zapomnisz na zawsze o twej wioszczynie i spadku wiarołomnego ojca. I będziesz mi sługą i przyjacielem! Będziesz władał ziemiami, o których myślałeś, że są białymi plamami na mapach. A teraz – Samozwaniec przeżegnał się dwoma złączonymi palcami – idź, zanieś dobrą nowinę Borysowi. Od tej chwili twojemu słudze i niewolnikowi. Pilnuj go dobrze, a on

niechaj bije ci czołem w podzięcie, że wymodliłeś u mnie jego
głowę.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki